

Rozdarta wojną Francja.
Podróż przez ocean. Los, który daje drugą szansę.

DZIEWCZYNA Z SIÓDMEJ ALEI



NATASHA LESTER



NATASHA LESTER

**DZIEWCZYNA
z
SIÓDMEJ
ALEI**

PRZEŁOŻYŁA
Anna Sauvignon



TYTUŁ ORYGINAŁU:

The Paris Seamstress

Redaktorki prowadzące: Ewelina Czajkowska, Olga Gorczyca-Poptawska

Wydawczynie: Maria Mazurowska

Redakcja: Adrian Kyć / Rytm pisania

Korekta: Anna Żukowska

Projekt okładki: Łukasz Werpachowski

Zdjęcie na okładce: © Fabian; © XtravaganT / Stock.Adobe.com

Wyklejka: © BORIS / Stock.Adobe.com

DTP: Maciej Grycz

Copyright © 2018 by Natasha Lester

The moral right of the author has been asserted. All rights reserved.

Copyright © 2024 for the Polish edition by Wydawnictwo KobiECE

Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Copyright © for the Polish translation by Anna Sauvignon, 2024

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiegokolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

Białystok 2024

ISBN 978-83-8371-005-1

Grupa Wydawnictwo KobiECE | www.WydawnictwoKobiECE.pl



CZĘŚĆ I

Estella

1

2 CZERWCA 1940 R.

Estella Bisette rozwinęła pas złotego jedwabiu, obserwując żwawe podskoki beli umykającej na drugi koniec roboczego stołu. Przemknęła dłonią po powierzchni tkaniny, miękkiej i zmysłowej w dotyku niczym płatki róży lub naga skóra.

– *What's your story morning glory* – mruknęła pod nosem.

Z boku dobiegł ją śmiech matki.

– Mogłabyś uchodzić za Amerykankę, dziecko.

Estella pojaśniała z zadowolenia. Jej nauczyciel angielskiego, zanim rok wcześniej dołączył do tłumów ludzi uciekających z Europy, po ostatniej lekcji stwierdził, że nawet on mógłby pozazdrościć jej akcentu. Z belą pod pachą zarzuciła sobie na ramię zwój jedwabiu i wykonała kilka szalonych piruetów, budząc splecione okrzyki pozostałych kobiet, co tym bardziej ją rozochociło, by wzbogacić swój występ o melodię – skoczną i szczebiotliwą *I Love Dancing* Joséphine Baker, którą wysapała wśród wybuchów śmiechu.

Gdy po wdzięcznym skłonie zbyt szybko wróciła do pionu, bela jedwabiu przefrunęła tuż nad głową Nannette, pochylonej nad konstruktorskim stołem, i potrąciła Marie.

– *Mon Dieu!* – fuknęła kobieta, chwytając się za ramię z przesadnym grymasem bólu.

Estella cmoknęła ją w policzek.

– Aż się prosi, by wziąć ją w obroty. – Wskazała fałdy tkaniny migoczącej jak letni księżyc na tle skromnego wnętrza warsztatu, bez wątpienia przeznaczonej na suknię nie tylko olśniewającą, ale wręcz widowiskową, jak palce Cole’a Portera pływające po klawiszach pianina w niesławnym klubie jazzowym Bricktop’s na Montmartre.

– Raczej by wziąć się do roboty – zagderiała Marie.

W progu pojawił się monsieur Aumont, zwabiony hałasem. Na widok Estelli spowitej w jedwab uśmiechnął się i zapytał:

– Co tym razem wyprawia *ma petite étoile*?

– Okłada mnie belą – pożałowała się Marie.

– Na szczęście masz dość ciała dla amortyzacji – stwierdził żartobliwie mężczyzna, a Marie zmełła odpowiedź pod nosem.

– Co z tego będzie? – chciała wiedzieć Estella, z lubością głaszcząc złote fałdy.

– Zobacz. – Przełożony dworskim gestem wręczył jej szkic.

Była to adaptacja modelu „La Cavallini” od Lanvin z lat dwudziestych, lecz wyolbrzymionej kokardy od frontu nie zdobyły tyśiące perełek i brylancików, a kaskada drobnych złotych różyczek.

Estella z westchnieniem zachwytu sięgnęła po rysunek. Wyobraziła sobie efekt złocistej pianki, jaki z dystansu stworzy falujący splot różanych pączków, ujawniając ich prawdziwą, misterną kompozycję jedynie najbliższym oczom. Żadnych wojskowych galonów, maski gazowej na ramieniu ani barw mundurowych – czy

to błękitu Maginota, granatu RAF, czy też stalowych szarości, które Estella z czasem zdążyła szczerze znienawidzić.

– Kiedy uda mi się stworzyć coś takiego, do szczęścia nie będzie mi już potrzebny nawet kochanek – oświadczyła z podziwem.

– Estella! – zgromiła ją Marie, jakby dwudziestodwuletnia kobieta nie powinna nawet znać tego słowa, a tym bardziej wypowiadać go na głos.

Dziewczyna rzuciła rozbawione spojrzenie na matkę.

Jeanne w przykładnym skupieniu nieprzerwanie upinała z jedwabiu drobne kwiatuszki wiśni. Nie podniosła wzroku, lecz w kącikach jej ściągniętych ust igrał uśmiech, bo doskonale wiedziała, że nic nie sprawia córce większej frajdy niż gorszenie biednej Marie.

– Żadna suknia nie zastąpi kochanka – skwitował monsieur Aumont i wskazał na materiał. – Masz dwa tygodnie, by zrobić z tego kwietnik.

– Wszystko się zużyje? – Dziewczyna przytuliła belę do piersi.

– Przysłano czterdzieści metrów, ale według moich obliczeń wystarczy trzydzieści sześć, jeżeli podejść do tego z głową.

– Będę uważna jak przy tkaniu koronki – zapewniła żarliwie Estella.

Jedwab został rozpięty na drewnianej ramie przymocowanej do blatu i usztywniony wodą z cukrem na tyle, by Marie mogła przystąpić do wykrawania kółek ciężkim żelaznym ostrzem. Estella tymczasem ogrzała zakończone kuleczką dłuto nad niskim płomieniem, sprawdziła temperaturę w naczyniu z woskiem i zaczęła ugniatać pierwszy okrągły wycinek na miękkiej podkładce pokrytej kawałkiem czystego białego płótna. Materiał w jednej chwili zmarszczył się wokół obłości na kształt różanego płatka. Powtarzając ten proces, do przerwy obiadowej dziewczyna zdążyła wykonać dwieście paków.

Lekkie, swobodne pogaduszki, którymi kobiety miały zwyczaj umilać sobie czas pracy, w pewnej chwili zakłócił cichy głos Nannette:

– Podobno z północy ucieka więcej francuskich żołnierzy niż belgijskich i holenderskich cywili.

– To kto nas ustrzeże przed hitlerowcami? – zapytała Estella. – Mamy bronić Paryża uzbrojone w igły?

– Opór stawi naród. Francja nie upadnie – odparła Jeanne z naciskiem, a Estella westchnęła.

Wolała nie drążyć tematu, bo mimo zagrożenia nie mogły z mamą pozwolić sobie na wyjazd. Podczas gdy tabuny ludzi z Holandii, Belgii i północnej Francji przemieszczały się na południe, one miały tkwić w tym warsztacie, upinając kwiaty z materiału, jakby nie istniało nic oprócz mody, gdyż na prowincji nie znały nikogo, kto by je przygarnął.

W Paryżu miały dom i pracę. Gdzie indziej – nic. Więc choć ślepa wiara matki w niezłomność Francuzów wydawała się niepokojąca, lepiej było odpuścić polemikę. Zresztą co szkodziło bodaj przez kilka dni poudawać w zaciszu szwalni, że skoro Lanvin i jej podobni wciąż zamawiają jedwabne ozdóbki, to może do końca świata jeszcze nie aż tak blisko?

W porze obiadowej, gdy kobiety rozdzieliły między siebie porcje króliczego gulaszu w zakładowej kuchni, Estella przypnęła na uboczu ze szkicownikiem. Spod pociągnięć ołówka w jej dłoni wyłonił się zarys sukni przepasanej w talii cienką szarfą ze złotego jedwabiu, z rękawkami na czubkach ramion, szykownym dekoltem w szpic i wykładanym kołnierzem na wzór męskiej koszuli. To właśnie ten nietypowy u wieczorowej kreacji element w przekonaniu Estelli nadawał jej szczególnej klasy. Spódnica, choć dopasowana, nie utrudniała tańca – słowem śmiały, pełen życia projekt na miarę jutra. A w czerwcu tysięcy

dziewięćset czterdziestego roku Paryż nade wszystko pragnął wiary w przyszłość.

Po posiłku, na kwadrans przed końcem przerwy, mama zaszła się z przełożonym w jego kantorku. Estella obserwowała ich oboje pogrążonych w cichej rozmowie. Monsieur Aumont – oszpecony weteran Wielkiej Wojny, któremu miotacz ognia praktycznie urwał nos i zniekształcił usta, co Estelli już nie raziło, ale co poza warsztatem ukrywał pod miedzianą maską – otwarcie dawał wyraz wrogości wobec Niemców, czy raczej „szkopów”, jak mówili z mamą. Dziewczyna nie omieszkła zauważyć ostatnio przybywających dostaw, niby to tkanin i barwników, które po dyskretnej wymianie zdań na schodach tylko monsieur miał prawo rozpakować.

Mama natomiast należała do siedmiuset tysięcy kobiet owdowiałych w trakcie Wielkiej Wojny, a wyszła za mąż niewiele wcześniej w wieku ledwie piętnastu lat. Oboje więc mieli za co nienawidzić Niemców, a ich ciągłe narady na boku bynajmniej nie wyglądały na romans.

Estella schyliła głowę, gdy mama wróciła na miejsce.

– *Très, très belle* – stwierdziła Jeanne na widok szkicu córki.

– Uszyję ją z nadmiaru materiału dziś po pracy.

– Wybierasz się do La Belle Chance? – zapytała Jeanne z myślą o klubie jazzowym na Montmartre, gdzie dziewczyna lubiła bywać wieczorami, chociaż po mobilizacji francuskich wojsk rok wcześniej i majowej ewakuacji Anglików z Dunkierki w mieście pozostało niewielu mężczyzn, głównie tych, których praca w przemyśle zbrojeniowym wyłączyła ze służby.

– *Oui* – potwierdziła z uśmiechem Estella.

– To ja pójdę na dworzec.

– Będziesz jutro wykończona.

– Jak ty dzisiaj rano – prychnęła mama.

Estella spędziła poprzedni wieczór na Gare du Nord, rozdając miski zupy tłumom uchodźców docierających do Paryża pociągami w przypadku nielicznych szczęśliwców, lecz najczęściej po przebyciu setek kilometrów pieszo w ucieczce przed wrogiem. Nakarmieni ruszali w dalszą drogę, aż znaleźli schronienie u krewnych, lub kontynuowali wędrówkę tak długo, jak niosły ich nogi, byle dalej od wojny, na południe od Loary, gdzie ponoć było bezpiecznie.

Dzień zleciał różyczka za różyczką. O szóstej matka z córką opuściły zakład i pod ramię ruszyły wzdłuż rue des Petits-Champs na tyłach Palais-Royal w kierunku Place des Victoires i targowiska Les Halles, przed którym zamiast kamionetek stał teraz rząd zaprzężonych w konie powozów do transportu żywności. Na ulicach bezlitośnie rzucała się w oczy smutna rzeczywistość, o której Estella wołała zapomnieć nad zwojem złocistego jedwabiu.

Przed wszystkim panował nietypowy spokój. Nie było cicho, ale o tej porze na chodnikach powinno roić się od szwaczek, krawców, krojczych i modelek śpieszących z pracy do domu. Tymczasem wzdłuż ciemnych fasad wymarłych pracowni i butików jedynie z rzadka przemknął przypadkowy cień. To wrażenie pustki doskwierało tym bardziej w mieście, które raptem miesiąc wcześniej wprost tętniło życiem. Lecz od zakończenia dziwnej wojny dziesiątego maja, gdy hitlerowskie wojska wkroczyły do Francji, Paryż nieprzerwanie się wyludniał. Pierwsze wyjechały amerykańskie limuzyny z szoferem za kierownicą, potem rodziny w mniej ekskluzywnych samochodach, a wreszcie wszyscy, którym udało się zdobyć konia i furmankę.

A jednak miasto spowijał ciepły czerwcowy wieczór przesycony zapachem bzu, kasztanowce dźwigały girlandy podobnych do pereł kwiatów, a tu i ówdzie zdarzały się jeszcze otwarte restauracje, kino, dom mody Schiaparelli. Życie biegło dalej. Gdyby

tylko przymknąć oko na chmary kotów wyrzuconych na bruk, osłonięte latarnie, czarne zaślepki w oknach, tak rażąco sprzeczne z romantycznym nastrojem paryskiego lata.

– O czym rozmawiałaś z monsieur? – zagaіła znienacka Estella, gdy po drugiej stronie rue du Temple uderzyła je znajoma woń zgnilizny i zbutwiałej skóry w dzielnicy Marais.

– Umówiliśmy się na wieczór, jak zawsze – odparła Jeanne.

– Na Gare du Nord? – dociekała dziewczyna z niejasnym przeczuciem, że od pewnego czasu wieczorne misje matki nie ograniczają się tylko do dworcowej kuchni.

– *Oui*. – Jeanne przywarła do ramienia córki. – Tam się spotykamy.

– A potem?

– Będę ostrożna.

Te słowa tylko utwierdziły Estellę w najgorszych obawach.

– Pójdę z tobą.

– Nie. Należy ci się odrobina rozrywki, póki czas.

Do Estelli nagle dotarło z pełną jasnością, że te powtarzane w nieskończoność banały o sile Francji i harcie ducha jej obywateli były wyrazem nie tyle błędnego przekonania, ile pobożnej nadziei, której Jeanne chwytiała się ze względu na nią. Nie pierwszy raz dziewczynę przepelniło uczucie niezmiernej wdzięczności wobec tej dzielnej kobiety, która samotnie ją wychowała i posłała do szkoły, nie szczędziła wysiłku, by zapewnić jej utrzymanie, i bez słowa skargi dzieliła swoje skromne życie jedynie między szwalnię i córkę.

– Kocham cię, *maman*. – Estella pocałowała matkę w policzek.

– I tylko to się liczy. – Twarz Jeanne rozświetlił uroczy, rzadko widywany uśmiech ukazujący jej faktyczne trzydzieści siedem lat, czyli wcale niedużo. Estella zapragnęła wyhaftować tę chwilę na granacie paryskiego nieba, tak ciasno, by nie dało się jej wypruć.

Gdy mama podążyła w stronę Gare du Nord, dziewczyna skręciła w Passage Saint-Paul, wąski, zapuszczony przesmyk wiodący do sekretnego wejścia do kościoła Saint-Paul-Saint-Louis i dalej do ich kamienicy. W holu dozorca i stary pijus, monsieur Montpellier, z beładnym bełkotem wręczył jej wiadomość.

Estella przebiegła tekst wzrokiem i zakłęła cicho. Inaczej planowała ten wieczór.

– Niech sobie nie pozwala – syknął cieć z naganą, którą dziewczyna puściła mimo uszu.

Postanowiła zamknąć mu usta później swoją złotą kreacją, lecz najpierw wzywały obowiązki. Pokonawszy w pośpiechu sześć kondygnacji krętych schodów, wpadła do mieszkania, gdzie mimo czerwcowej aury przywdziała długą, obszerną pelerynę, po czym przebyła z powrotem tę samą trasę, aż do magazynu jednego z amerykańskich domów handlowych przy rue du Faubourg Saint-Honoré.

Zgodnie z oczekiwaniem madame Flynn, należąca do ostatniej garstki przybyszów zza oceanu pozostałych w mieście, czekała w gabinecie sama. Na jej biurku piętrzył się stos pudeł opatrzonych logo domu Schiaparelli.

– Nie trać czasu – rzekła i odwróciła się tyłem, jakby wbrew oczywistym faktom wołała nie wiedzieć, co Estella robi za jej plecami.

Dziewczyna wyluskała suknie z opakowań i ukryła je w polach płaszcza. Bez słowa wybiegła z biura, a kilka przecznic dalej wspięła się po schodach do wzorcowni, gdzie dorabiała przy okazji pokazów mody. W sprzyjających warunkach kreślarzom jej miary udawało się przenieść na papier nawet do piętnastu markowych modeli prezentowanych na wybiegu, a szkice sprzedać producentom podróbek lub amerykańskim zaopatrzeniowcom.

Popyt na fałszywki tak znamienitych artystów jak Chanel, Vionnet, Lanvin, Callot Sœurs czy Mainbocher był na paryskim i amerykańskim rynku nienasycony. Estella mogłaby śmiało czerpać znacznie większe zyski wyłącznie z reprodukcji. Lecz gdyby od rana do wieczora musiała kopiować, czyli w sumie kraść cudze pomysły, nigdy nie stworzyłaby nic samodzielnie. Toteż zgłaszała się do rysowania tylko w czasie pokazów, gdy dyskretnie błędząc ołówkiem w notatniku, by nie budzić podejrzeń, że rejestruje coś więcej niż jedynie numer szczególnie efektownej pozycji, ściagała wzrokiem zgrabne ruchy modelek, czujna na wszelki szczegół: liczbę plis u spódnicy, szerokość klap u zakietu, rozmiar każdego guzika – a należało zdążyć, zanim dana kreacja zniknie za kulisami, bo niekompletnego wzoru nikt by później nie kupił.

Najbardziej lubiła imprezy Chanel, choć odtworzenie piętnastu dzieł tej marki wymagało nie lada wprawy. Przy prostym kroju znacznie trudniej było pochwycić sekret subtelnej gracji płynącej nie tylko z gatunku tkaniny i akcesoriów. Każda kompozycja miała duszę. A wszystkie spowijała aura szlachetnego spokoju, daleka od cyrkowej stylistyki Patou, pozwalającej zatuszować drobne mankamenty. Nie, na pokazach Chanel nic się nie ukryło przed argusowym okiem organizatorów. Uczestnikom wręczano wąskie kartoniki na notatki zamiast pełnoformatowego programu doskonałego jako kamuflaż podczas szkicowania, więc należało operować ołówkiem niepostrzeżenie.

Dotąd Estella uznawała to za rodzaj zabawy, lecz wobec gwałtownie topniejącej liczby amerykańskich nabywców jej dochody w poprzednim sezonie skurczyły się na tyle dotkliwie, że w tej chwili musiała wykorzystać każdą sposobność zarobku, aby spłacić choć część pożyczki od monsieur Aumonta, dzięki której, zgodnie z wolą mamy, od szóstego roku życia co dzień po zajęciach w szkole uczęszczała na kurs angielskiego. A ponieważ Francuzkom nie

przysługiwało prawo do otwarcia rachunku bankowego, nie mogły ubiegać się o kredyt. Ani uczestniczyć w wyborach. Należały do podklasy społecznej skazanej na pokorne siedzenie w domu, gotowanie i rodzenie dzieci.

Toteż dla wielu nienawykłych do innych powinności niż dbałość o garderobę wybuch wojny oznaczał potężny szok. Szczęśliwie Jeanne Bissette, chcąc nie chcąc, wpoila córce samodzielność, wobec czego dziewczyna za punkt honoru uznawała zwrot zaciągniętego długu do ostatniego centyma, choć wielkoduszny krawiec umorzyłby go bez wahania. A to wymagało dodatkowych źródeł wynagrodzenia.

Płynna angielszczyzna okazała się nader przydatna na kreślarskim rynku, gdyż nieznaną francuskiego amerykańscy kupcy chętniej wybierali współpracę z Estellą. Bez wpływów od madame Flynn mama nie zmrużyłaby oka z powodu zaległości, dodatkowo powiększonej o koszty rocznego kształcenia dziewczyny w paryskiej filii Nowojorskiej Szkoły Sztuk Pięknych i Stosowanych przy Place des Vosges. To na tej uczelni, zamkniętej wskutek wojny, w wyobraźni Estelli zagościła wizja domu mody pod jej nazwiskiem oferującego kreacje jej autorstwa, a nie podróbki. Lecz w takich chwilach, przemycając sześć markowych sukien pod podszewką, traciła wszelkie nadzieje na urzeczywistnienie tych marzeń, bo przedsiębiorcom pokroju madame Flynn, skorym za prowizją użyczać modeli wzorcowniom, nie zależało na oryginalności, a Elsa Schiaparelli i inni projektanci zjedliby Estellę żywcem, gdyby proceder wyszedł na jaw.

Poprzysięgła sobie, że to ostatni raz.

Tymczasem madame Chaput już jej wyglądała. Przyniesione suknie natychmiast trafiły do rekonstrukcji, Estella chwyciła za ołówek, a przełożona notowała rodzaj potrzebnych guzików i pobierała skrawki materiału wzdłuż szwów, gdzie ich brak nie rzucał się

w oczy. Następnie Estella dostała pieniądze na taksówkę i wróciła do madame Flynn z sukniami oraz opłatą za ich udostępnienie. Nie ulegało wątpliwości, że towar następnego dnia wyruszy do Nowego Jorku, o ile transport morski jeszcze kursował w chaosie ostatnich wydarzeń, a dwa dni później podróbki madame Chaput znajdą nabywców wśród paryskich miłośników modnej, lecz taniej garderoby.

Dziewczyna po raz kolejny pieszo przebyła trasę do Marais, w pośpiechu, aby zdążyć sprokurować sobie złotą kreację i dotrzeć do klubu przed północą. Na podwórzu nabrała wody pod gniewnym okiem dozorczy – który nie krył urazy, odkąd na Boże Narodzenie nie doczekał się od Estelli i jej mamy butelki porto w prezencie, i w ogóle lubił obserwować zmagania mieszkańców pozbawionych kanalizacji, nieczęsto wówczas spotykanej w paryskich kamienicach – po czym wtaszczyła wiadro na poddasze, gdzie czynsz był najniższy. Podgrzała nieco wody w czajniku i przyrządziła kawę, a następnie usiadła przy maszynie i zatopiła ostrza nożyc w jedwabiu według wykonanej wcześniej w szwalni formy, żałując, że nie może pozwolić sobie na profesjonalną krajalnicę i uzyskać tak idealnych konturów, jak by chciała, i że nigdy nie dorówna Vionnet, mistrzyni cięcia od razu na tkaninie bez szkicu.

Półtorej godziny później z uśmiechem przywdziała swoje dzieło, w każdym calu zgodne z zamierzoną wizją, i zmarszczyła brwi na widok zniszczonych pantofli, jednak w tym zakresie brakowało jej umiejętności, a na kupno nowych nie było jej stać. Zarzuciła płaszcz, na wypadek gdyby później się ochłodziło, i nawet nie spojrzała na maskę gazową, oficjalnie wymaganą przy każdym wyjściu, za to dla zadośćuczynienia jedynej prośbie mamy osłoniła włosy białą chustą, by łatwiej rzucać się w oczy kierowców na ociemniałych ulicach.

Na Montmartre minęła Bricktop's, za drogi na jej kieszeń, i weszła do znacznie mniej wystawnego, lecz gwarniejszego klubu,

gdzie na tle skocznych partii saksofonu wybijały się równie melodyjne strzępki okolicznego dialektu. Jakiś mężczyzna przylgnął do niej z boku, ale odprawiła go w kilku dosadnych słowach opatrzonych surowym spojrzeniem i usiadła przy stoliku Renée, jednej z córek monsieur Aumonta.

– *Bonsoir*. – Renée cmoknęła ją w oba policzki na powitanie. – Masz papierosy?

Estella wyłuskała dwa ostatnie *gauloises’y* i obie zapaliły.

– Co to za nowy trend? – parsknęła kpiąco Renée.

– Sama uszyłam.

– To widać. W sklepie nie znajdziesz czegoś podobnego.

– W tym sęk.

– Dość... niepowszedni styl.

Estella potrząsnęła głową. Renée miała na sobie sukienkę w stylu Heidi, których stopy smętnie zalegały na wieszakach w *Au Printemps*, jakby zgubiły drogę powrotną w Alpy, przez co i ona, i wszystkie podobnie ubrane kobiety w klubie zdawały się bezbarwne i mdłe na równi z serwowanym tam winem.

– A czego się spodziewać po Estelli? – zadzwęczał obok rozbawiony głos. *Huette*, siostra Renée, pochyliła się, by ucałować dziewczynę. – *Magnifique!*

– Zatańcz ze mną – przerwał im obcy mężczyzna. Woniało od niego zapachem placu *Pigalle* o północy, czyli mieszkanką alkoholu i perfum licznych dziewcząt, z którymi już miał okazję pójść w tany. Najwyraźniej zdążył się rozzuchwalić, jako jeden z nielicznych przedstawicieli swojej płci, bo podobnie grubiańskie zachowanie nigdy nie miałyby miejsca, gdyby większość mężczyzn nie walczyła na froncie.

– Nie, dziękuję – odparła Estella.

– A ja chętnie – podchwyciła Renée.

– Mówię do niej. – Zalotnik wskazał Estellę.

– Żadna z nas nie ma ochoty – ucięła dziewczyna.

– Ja tak – powtórzyła Renée z nutką desperacji.

W takich czasach przyszło im żyć. Gdy już jakimś cudem trafił się partner do tańca, duma szła w zapomnienie.

– Daj spokój. – Huette odruchowo ujęła siostrę za ramię.

Estellę na widok tak pełnego czułości gestu wobec narwanej Renée zalała fala tęsknoty. Zaraz potem przyszło jej do głowy, że to niedorzeczne pragnąć czegoś nierealnego. Powinna się cieszyć, że w ogóle ma mamę, a nie samolubnie zazdrościć innym siostry.

Mężczyzna pociągnął Renée na parkiet i ani na chwilę nie wypuszczał jej z ciasnego uścisku. Estella z niesmakiem odwróciła wzrok, gdy przywarł krocem do jej łona.

– Zaśpiewajmy coś. Zmienimy rytm na żywszy, niechby się odkleił – zaproponowała.

Huette podążyła za nią na scenę, gdzie dawał popis nieśmiertelny kwartet, z którym przy pianinie prześpiewały niejedną wieczór, aż do wyczerpania repertuaru szkolnych lekcji muzyki. Jeanne w młodości należała do klasztornego chóru, a jej głos od zawsze był główną dekoracją w ich domu, zanim córka podrosła na tyle, by podzielić jej zamiłowanie do śpiewu. Tyle że zamiast arii operowych Estella uwielbiała zmysłowy pomruk jazzu.

Nie przerywając gry, muzycy odwzajemnili powitalne buziaki, a pianista Luc nie omieszkiał pochwalić sukni Estelli silnie charczącą gwarą, niezrozumiałą dla przeciętnego paryskiego ucha. Zakończył utwór i chętnie ustąpił miejsca Estelli, by w tym czasie przepłukać gardło, a Huette dołączyła do Philippe'a przy mikrofonie. Estella przemknęła palcami po klawiszach ku natychmiastowej radości i oklaskom tłumu, kiedy ten rozpoznał wstęp do *J'ai deux amours*. W trakcie gry w sercu Estelli nabrzmiała nadzieja, że miłość do Paryża otaczających ją ludzi zdoła ocalić miasto przed

tym, co miało nadejść wraz ze zbliżającymi się siłami wroga. Huette, której w wysokich partiach brakowało głosu, zamieniała się z nią miejscami.

Estella przejęła mikrofon i gdy przy wtórze rozśpiewanych gości dotarła do finału, na kilka sekund wypełniła ją wiara, że przetrwają, że Paryż jest zbyt wielki, zbyt świątły na zakusy tak miałkiego piniacza jak Adolf Hitler.

Po występie została chwilę pożartować z Philippe'em, Huette i Lukiem, do czasu gdy spostrzegła, że bynajmniej nie ocaliły Renée zmierzającej właśnie do wyjścia w towarzystwie prostaka, z którym tańczyła, i nagle poczuła się niewymownie zmęczona, daleko starsza niż dwadzieścia dwa lata i dziwnie smutna.

– Na mnie już pora – oznajmiła, po czym pożegnała się ze wszystkimi.

Nie wróciła jednak prosto do domu. Naszła ją ochota, by zajrzeć w zapuszczone zakątki Marais, których ślady przebrzmiałej świetności były jeszcze z okazałej architektury dawnych szlacheckich rezydencji, choć teraz przerobionych na fabryki otoczono przemysłowymi graciarniami w miejscu niegdyś zadbanych klombów. Estella dotykała mijanych murów tym samym pieśczośliwym gestem, którym gładziła tkaniny w warsztacie. Czy nobliwa dostojność zakłęta w tych ścianach – na zasadzie tej niepowtarzalnej klasy, która zawsze odróżni suknię spod igły od wyprodukowanej hurtem – oprze się szturmom najeźdźców?

Dotarła do pogrążonej w ciszy hali Carreau du Temple, którą o świcie miał wypełnić gwar handlarzy tekstyliami i używaną odzieżą, rozpinających na wieszakach wszelkie znaleziska wygrzebane ze śmietników przy Champs Élysées. Wędrowała wyludnionymi ulicami, chłonąc widok znajomych, bliskich sercu miejsc, zanim nic z nich nie zostanie: ślady czerwonej, złotej i niebieskiej farby nad portykiem Hôtel de Clisson strzeżonym przez parę

pękatych średniowiecznych wieżyczek oraz misterne krużganki pod arkadami na skrzydłach pałacu Carnavalet.

Nogi samowolnie poniosły ją na rue de Sévigné do opuszczonego dworu, gdzie mama pozwalała jej w dzieciństwie buszować wśród pustych pokoi, a gdzie teraz, według wszelkich przypuszczeń, spotykała się z monsieur Aumontem. Lecz w nienaturalnie sinym świetle przyćmionych latarni trudno było rozróżnić szczegóły. Budynek, na przekór symetrii i formie dominującego wokół francuskiego baroku, garbił się w gotyckim stylu. Fantazyjnie zwieńczone wieżyczki wyglądały jak rodem z bajki, choć Estelli głównie przywodziły na myśl kobiety niewolone na poddaszu.

Pod wpływem impulsu pchnęła drewniane wrota i znalazła się na dziedzińcu pod okiem wykutych na elewacji czterech figur symbolizujących pory roku, choć bezgłowe Lato psuło nieco efekt. Żwirowe alejki, które od lat nie widziały miotły ani grabi, umykały we wszystkich kierunkach na kształt promieni, torując sobie drogę wśród wybujałych żywopłotów i pędów mięty o złowrogim zapachu, samowolnie panoszącej się z dala od zielnika. Nagle z boku dobiegło szuranie. Dreszcz spiął mięśnie jej pleców niby szarpnięcie zamka błyskawicznego wzdłuż kręgosłupa.

Obróciła głowę. Na zwichrowanej ławce ślaniał się monsieur Aumont. Jego ubranie i ciało tchnęły wonią krwi i grozy.

– *Mon Dieu!* – Zachłysnęła się na widok ciemnej plamy na przodzie jego koszuli.

– Zanieś to do Théâtre du Palais-Royal – wyszeptał, powierając jej niewielkie zawiniątko. – Proszę. Dla Paryża. Pomoże ci lelek kozodój.

– Gdzie *maman*? – spytała Estella.

– W domu. Bezpieczna. Pośpiesz się!

Stracił równowagę, więc Estella rzuciła się na pomoc, a wówczas napotkała jego błagalny wzrok.

– Szybko – powtórzył natarczywie. – Dla Paryża.

Cokolwiek jej wręczył, oznaczało ryzyko. Ale sprawa musiała być ogromnej wagi, skoro poniósł rany i od razu zaznaczył, że mamie nic nie grozi. Estella ledwie godzinę wcześniej śpiewała o swojej miłości do Paryża. A miłość wymagała poświęcenia.

Monsieur Aumont zamknął oczy. Dziewczyna rozwinęła kilka skrawków jedwabiu, na których rozrysowano plan budynku. Nic prostszego niż wsunąć je do kieszeni pod podszewką płaszcza, w których przemycała modele ubrań. Lecz w obszytej paciorkami pelerynie z granatowego aksamitu i złotej sukni trudno było wtopić się w tłum.

– Idź – wycharczał przez zaciśnięte zęby krawiec.

Estella w końcu skinęła głową, bo nagle słowa, które wyśpiewała w klubie, nabrały realnego znaczenia: jej miasto było w niebezpieczeństwie, a ona, spełniając prośbę monsieur, mogła pomóc je chronić.



*Sięgnij po
więcej!*



 www.wydawnictwokobiece.pl

 [kobiece](https://www.facebook.com/kobiece)

 [wydawnictwo.kobiece](https://www.instagram.com/wydawnictwo.kobiece)